

DALSZE KAPRYSY NIEBA

- Spike!

Mały smok obrócił się gwałtownie, wyraźnie zaskoczony nagłym zawołaniem. Twilight rozglądała się wokół z niedowierzaniem. Czy to miała być jej ukochana biblioteka?

- Twilight! Już wróciłaś!? Nie spodziewałem się...

Wnętrze prezentowało się tragicznie. Ściany poprzecinane były brudnymi zaciekami. Rogi były szare od pajęczyn. Na lepiącej się podłodze walały się gdzieśgdzie pojedyncze książki, a każda horyzontalnie usytuowana powierzchnia była pokryta grubą warstwą kurzu. Ogółem, dom Twilight przypominał bardziej ruderę, której nikt nie doglądał przez wiele lat.

- Spike, co to ma być?! Zostawiłam ci bibliotekę pod opieką! Miałeś o nią dbać!

- No i przecież dbałem! Zobacz, nie jest tak źle...

Spike, w dość niewiadomym celu, podbiegł do półek z książkami, jakby chciał coś zademonstrować. Można przypuszczać, że raczej nie chodziło mu o to, by jedna z półek nagle załamała się pod ciężarem ksiąg, sprawiając, że cenne egzemplarze literatury przeważnie naukowej zostały rozrzucone po niemal całym pomieszczeniu.

- Zostaw! - krzyknęła Twilight do Spike, gdy ten rzucił się je zbierać - Dość narobiłeś! Rany, to jakiś koszmar...

Studentka stała pośrodku swojej biblioteki, zastanawiając się, co począć. Sprzątanie tego zajmie z tydzień... Jakim cudem jej asystentowi udało się tak zapuścić to miejsce? Nawet jeżeli zrobiłby to specjalnie, byłoby to niezłym osiągnięciem...

Rozmyślania przerwała nagła wilgoć, którą klacz poczuła na nosie. Instynktownie podniosła kopyto i zaczęła nim wycierać to miejsce, ale uczucie wilgoci nie przechodziło.

- Co, u licha?! - Twilight uniosła głowę, by spojrzeć na dach. Ujrzała w nim sporych rozmiarów dziurę, przez którą spadały na jej twarz sporej wielkości krople deszczu.

- Co!? Jeszcze to!? Skąd to się wzięło!?

- A no tak - odrzekł zakłopotany Spike - No, tego...

Twilight usunęła się spod dziury. Po chwili jednak zdała sobie sprawę, że wciąż czuje coś mokrego na swoim nosie. Zaczęła pocierać go z coraz większą zawziętością, ale zdawało się to kompletnie nic nie dawać.

- No, co jest...

Powieki Twilight z trudem się rozkleiły, gdy sen w końcu dał za wygraną i dokonał odrotu, by - zgodnie ze swoim zwyczajem - zaatakować ponownie wieczorem. Klacz ziewnęła przeciągle i westchnęła z ulgą, że jej nieprzyjemne marzenie senne okazało się być jeno wytworem jej umysłu. Po chwili jednak zdała sobie sprawę, że pewne wrażenie przekroczyło granicę snu i jawy.

Powstała szybko na nogi i podniosła kopytko, by w końcu wytrzeć nos z czegoś mokrego, co na nim spoczywało. Tym razem podziało i Twilight sprawdziła, co było przedmiotem jej udręczenia we śnie. Na swojej kończynie spostrzegła szybko topniejącą grudkę śniegu.

Niedowierzanie swoim zmysłom sprawiło, że jednorożec ostatecznie wybudził się, co pozwoliło mu dostrzec, że śnieg nie tylko znajdował się na jego nosie, ale także pokrywa cienką warstwą wszystko wokół. Warstwa była natomiast zasilana grubymi płatkami, które spadały z nieba, z tych ciężkich chmur, które prześladowały Equestrię od jakiegoś czasu.

Co prawda takie krajobrazy minęły stosunkowo niedawno, ale w Equestrii takie nawroty zimy czy ogólne niespodzianki pogodowe należały do prawdziwych rzadkości, z racji pracy, którą wykonywały pegazy. Taki widok był zatem niepokojący dla Twilight niemniej, niż wszystkie pozostałe odstępstwa od normy, występujące ostatnimi czasy.

Klacz spostrzegła także, że Spektrum również już się obudził. Otrząsał się z osiadłego na nim śniegu i spoglądał w szare od chmur niebo. Twilight podeszła i spytała:

- Chyba jest coraz gorzej... Co teraz robimy?
- Odśnieżamy? - odrzekł kpiąco ogier. - A co mamy robić? O ile nie znasz jakiegoś zaklęcia na pogodę, musimy po prostu iść dalej.

Na takie dictum Twilight nie miała riposty. Tymczasem pozostałe klacze również zaczęły się wybudzać, wyrwane ze snu dźwiękami rozmowy.

- Co, do licha!? - Applejack była pierwszą z nich, która zdała sobie sprawę z pogodowej osobliwości.

- Łiiii! Znowu mamy zimę! - Reprezentantka Elementu Śmiechu podeszła do tego w typowy dla siebie sposób.

- Dobrze, że wstajecie - Spektrum zdawał się być kompletnie niewzruszony - Komu w drogę, temu czas. Jak się czujesz?

Ostatnie słowa ogier skierował do Rarity, która z racji swej kondycji zbierała się z posłania wolniej od przyjaciółek. Zaskoczona tym aktem troski, odrzekła:

- Dziękuję, nieco lepiej... Aczkolwiek skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie czuję rany..

- Możesz chodzić?

- Mogę...

- Świetnie - uciął gwardzista - Zatem kierunek - południe.

Grupa, z lekka się ociągając, zaczęła zbierać swe manatki, by kontynuować drogę. Gdy już wyruszyli, Twilight podeszła do idącego tradycyjnie na czele Spektruma.

- Naprawdę nie przejmujesz się tym wszystkim?

- Czyli czym?

- No, nie wiem - odrzekła ironicznie magiczka. - W końcu wszystko jest jak najbardziej w porządku...

- Jeżeli chodzi ci o Rarity, to najważniejsze, że jest lepiej, a nie gorzej. Nie wdało się zakażenie, czy inne świństwo. Tamta kreatura mogła być nawet jadowita, cholera to wie... Jeżeli zaś chodzi o pogodę - tu Spektrum zwrócił twarz w stronę Twilight - to już ci mówiłem. Nic nie możemy z tym zrobić, więc nie ma sensu się nad tym teraz głowić.

- Twierdzisz, że to nie problem? Bo moim zdaniem, nieco to utrudnia kwestię noclegów i pozyskiwania jedzenia...

Gwardzista westchnął cicho i odpowiedział:

- Noclegi przeżyjemy. A co do jedzenia, to niedługo będziemy mieli okazję rozwiązać ten problem.

- To znaczy?

- Niedługo powinniśmy dotrzeć do niewielkiej miejsciny o nazwie... Middleway, jeśli dobrze pamiętam. Będziemy mogli się tam posilić.

- Coś takiego - wtrąciła się Rarity. - Zaczynałam się już powoli odzwyczajać od cywilizacji.

- Widzicie, niektórych może to zdziwić, ale na Południu również żyją kucyki - odparł ogier nieco żartobliwie.

Świeży, puszysty śnieg nie chrząścił pod kopytami, zatem nie zakłócał rozmowy, którą kucyki umilały sobie wciąż daleką drogę.

Jednym z wyróżników Appleloosy jest to, że raczej nie można było tu narzekać na niskie temperatury. Opady śniegu, mimo że niezbyt duże, wywołały więc naprawdę znaczącą konsternację wśród mieszkańców. Szczęśliwie, cienka warstwa opadu nie stanowiła zagrożenia dla normalnego biegu życia miasteczka - gdyby padało mocniej, Appleloosa byłaby na coś takiego zupełnie nieprzygotowana.

Tym niemniej, kucyki tu mieszkające, które przechadzały się ścieżkami, często pocierały swe ramiona z chłodu, jako że spora część z nich nie było odziana odpowiednio do nietypowej w tym rejonie pogody.

Braeburn radził sobie lepiej z racji kamizelki, którą zawsze miał na sobie, nie zmieniało to jednak faktu, że wolałby znajdować się teraz w swoim ciepłym domu, niż tutaj, w okolicy centrum miasteczka, załatwiając pewne sprawy związane z sadem jabłkowym.

Ogier martwił się, czy opady nie zaszkodzą uprawom. Póki co, taka ilość śniegu nie stanowiła zagrożenia, ale kto wie, co przyniesie jutro?

Ostatecznie jednak Braeburn nie był kucykiem, który nadmiernie się zamartwiał, zatem szybko odrzucił negatywne myśli i przyjął typowy dla siebie optymizm. Przechodził właśnie koło dworca w Appleloosie i zobaczył, jak pociąg z Manehattanu, który kursował co parę dni, zajeżdża właśnie na peron. Jako że pociąg ten przejeżdżał także przez Ponyville, Braeburnowi natychmiast przypomniała się jego droga kuzynka, Applejack. Ciekawe, jak ona sobie radzi z tym wszystkim? Czy w Ponyville padało mocniej, czy lżej? Od sporego już czasu nie miał od niej żadnych wieści...

W czasie, gdy kucyk tak rozmyślał, parę osób opuściło pociąg, wychodząc na

peron. Wśród nich znajdowało się dwóch ogierów, obarczonych tobołami, podobnie jak większość pozostałych podróżnych. Jednorożec, który wychodził jako drugi, postawił kopyto na ziemi.. i od razu poślizgnął się na cienkiej warstwie śniegu. Widząc, że jego skrzydlaty towarzysz, zamiast pomóc, osuwa się na ziemię ze śmiechu, Braeburn podbiegł do ogiera, by podać mu pomocne kopyto.

- Hej, nic panu nie jest?

- Nic! - fuknął rdzawy jednorożec, obdarzając leżącego obok na ziemi i zanoszącego się śmiechem pegaza mściwym spojrzeniem.

- Heh, w imieniu Appleloosy przepraszam za to nieprzyjemne powitanie - Braeburn skłonił się - Mam nadzieję, że wasz pobyt w naszym kochanym miasteczku będzie już tylko lepszy.

- My tu tylko przejazdem - burknął rogaty ogier

- Tak, bardzo chcielibyśmy tu zostać dłużej - dodał pegaz o złotej sierści, powoli zbierając się z ziemi i ocierając kopytem załzawione ze śmiechu oko. - Zwiedzilibyśmy wszystkie te wasze, eee, łąki i pola, ale musimy ruszać w drogę!

- Rozumiem - pokiwał głową członek rodziny Apple. - Szkoda, że nie zostaną panowie tu na dłużej, albowiem nasze miasteczko jest bardzo otwarte na gości! Cóż, pozostaje mi życzyć szerokiej drogi... dokąd, jeśli można wiedzieć?

Ogierzy spojrzali po sobie. Po krótkim milczeniu odpowiedział pegaz:

- Robimy sobie małą wycieczkę krajoznawczą w Góry Macintosha. Ponoć bardzo ładna okolica.

Braeburn podniósł brew:

- Góry Macintosha? Hm, nie wiem, czy wiecie, ale nie bez powodu mało kto wybiera się tam na wycieczki... Tam jest dość niebezpiecznie.

- No właśnie! - podchwycił pegaz, przybliżając się do rozmówcy. - Dreszczyk emocji! Niebezpieczeństwo! Przygoda! Każdej chwili szkoda!

- Niech go pan nie słucha - burknął jednorożec, patrząc potępiająco na swego towarzysza. - Mój... kolega jest trochę dziwny. Miałbym do pana pytanie - jak to wygląda z pogodą w górach? Czy tam też pada śnieg?

- O, przypuszczam, że nawet bardziej. W końcu to góry. Na nieciekawą porę trafiliście, powiem szczerze...

- Oj, damy sobie radę - odparł energiczny ogier o złotej sierści. - No to my będziemy lecieć. Miło było poznać!

Pegaz pomachał kopytem i odszedł, a w ślad za nim podążył jego rogaty kompan. Braeburn patrzył przez chwilę, jak odchodzą, zastanawiając się, kto u licha pragnie rozrywek w postaci wybierania się w rejony słynące z bandytyzmu? Poczciwa

natura młodego ogiera nie pozwalała mu na określenie ich mianem idiotów. "Niespełna rozumu" - to już pasowało bardziej. Chyba że nie powiedzieli mu całej prawdy...

Po paru chwilach takich rozważań Braeburn jednak w końcu porzucił ten wątek i powrócił do swoich spraw oraz do wspomniania swojej krewnej z Ponyville, od której przecież tak dawno nie otrzymał żadnych wieści...

Maze i Karat maszerowali różnym krokiem, oddalając się od dworca w Appleloosie, tym samym znajdując się coraz dalej od centrum miasteczka. Ilość kucyków, które mijali, zmniejszała się, i kiedy Maze uznał, że można już prowadzić rozmowę, nie będąc słyszany przez dziesiątki par uszu, odezwał się:

- Po jaką cholerę mówiłeś mu, gdzie zmierzamy?

Karat odwrócił głowę zdziwiony:

- Co? A, masz na myśli tamtego gościa?

- Może od razu trzeba było mu powiedzieć, kim jesteśmy i czego szukamy w tych górach? - Ton głosu Maze'a wręcz ociekał sarkazmem.

- Daj spokój - machnął kopytem pegaz. - Więcej podejrzeń wzbudzilibyśmy, gdybyśmy nie odpowiedzieli na tamto pytanie.

- Skoro już otworzyłeś japę, mogłeś chociaż wymyślić jakieś sensowne kłamstwo!

- Oj, daj spokój, mówię. Za godzinę ten koleś nie będzie nawet pamiętał tej rozmowy.

Ponury gwardzista zbyt dobrze znał swojego partnera, by nie wiedzieć, że dalsza dyskusja nie ma sensu - trudno było wbić coś do głowy dość beztroskiego Karata. Maze'a doprawdy często zastanawiało, jakimi cechami charakteru jego towarzysz przekonał Spektruma do tego, by mu zaufać i powierzać odpowiedzialne zadania. Owszem, Karat miał parę zalet jako agent - był energiczny, aktywny, umiał się odnaleźć w niemal każdej sytuacji i z pewnością nie brakowało mu odwagi czy pewności siebie - ale, na miłość Celestii, bywał czasami taki niefrasobliwy...

Zapewne wynikało to z jego pochodzenia. Karat był synem bogatych rodziców i nie brakowało mu w zasadzie niczego - miał kochającą rodzinę, pieniądze i popularność wśród rówieśników. Mógł w zasadzie całe życie zajmować się głównie imprezowaniem i zbijaniem bąków, lecz inteligentny i ambitny młodzieniec uznał jednak, że taki żywot by go nie zadowolił - postanowił więc poświęcić się czemuś pasjonującemu i

pożytecznemu, co by zarazem pasowało do jego sangwinicznego temperamentu. Gdy więc otworzyły się nabory do straży królewskiej, pełen zapału Karat zgłosił się.

Po paru testach fizycznych i umysłowych, które przeszedł znakomicie, jego proces rekrutacyjny jakby utknął w martwym punkcie. Podczas gdy inni kandydaci dostawali już odpowiedzi, w dodatku zazwyczaj pozytywne, Karat wciąż nie dostawał żadnego odzewu, co było bolesne dla jego ego. Jego niepokój wzmagало wrażenie, że jest obserwowany, a nawet śledzony - wtedy co prawda odrzucał te podejrzenia jako paranoiczne, ale dziś wiedział, że to była normalna praktyka przybocznych stosowana wobec potencjalnych rekrutów.

W końcu młody pegaz dostał zaproszenie na rozmowę. Tam, w jednej z kanterlockich, szykownych kawiarni, poznał kucyka, który wtedy przedstawił mu się jako naczelny rekruter straży królewskiej, a który był w rzeczywistości jego przyszłym przełożonym - był to okres, kiedy Spektrum dopiero organizował straż przyboczną i lubił osobiście zajmować się potencjalnymi kandydatami na gwardzistów.

Po długim i szczegółowym wywiadzie Spektrum przedstawił Karatowi propozycję - albo, jak to wtedy ujął, "zostawi" go straży królewskiej, albo przyjmie go do tworzącej się dopiero straży przybocznej księżniczki Celestii. Po wyszczególnieniu, jakie zadania będą tam na niego czekać, ogier o złotej maści nie wahał się długo.

Mimo że zdarzało mu się czasem narzekać, Karat nigdy nie pożałował tej decyzji. Służba jako przyboczny dawała mu dokładnie to, co chciał - estymę, przygodę oraz poczucie użyteczności. Mógł powiedzieć o sobie, że jest samodzielnym kucykiem, a nie synalkiem bogatego tatusia, który wszystko podsuwa mu pod nos - a zdawał sobie sprawę, że w przeszłości wiele osób tak o nim sądziło.

Maze wiedział to wszystko, albowiem Karata z pewnością nie można było nazwać skrytym i często rozgadywał się on na temat swojej przyszłości, planów i marzeń. Jednorożcowi nie było zbyt przyjemnie słuchać tego wszystkiego, ale nie dawał po sobie tego poznać - nie chciał wyjść na większego gbura, niż jest. Prawdą jednak było, że Maze czuł lekką zazdrość, kiedy dowiadywał się, jak inni mają łatwo w życiu w porównaniu do niego. Młody fircyk, który wstąpił do straży tylko dlatego, że miał taką fantazję... Maze zawsze odczuwał bolesne ukłucie w sercu, kiedy przypominał sobie, dlaczego on postanowił wstąpić do tej wszakże niebezpiecznej pracy.

Czy może raczej - dla kogo...

- Halo, kontaktujesz?
- Co? - Maze otrząsnął się z zamyślenia.
- Pytałem się coś! - Karat zawachlował skrzydłami. - Jaki mamy plan konkretnie, bo przecież szukanie jednej klaczki w tych górach i bagnach, to wiesz...
- A masz lepszy pomysł? Nie mamy wyjścia. Idziemy w ten rejon, nawiązujemy kontakty, wypytujemy o grupę Shining Blaze'a, znajdujemy ją i pozostaje mieć nadzieję, że Orange Cloud w niej będzie. I że to rzeczywiście będzie Rainbow Dash.
- A jeśli nie?
Maze spojrzał na pegaza:
- A jak myślisz? Wracamy do Ponyville i czekamy na inne tropy.
- No i git! I tak ta podróż jest o wiele lepszą rozrywką od tamtej zapyziałej miejsciny.

Jednorożec rzadko był zainteresowany ciągnięciem rozmowy dłużej, niż było to konieczne, ale z racji czekającego ich długiego marszu, postanowił zagaić:
- Czyżby? Z tego, co kojarzę, to zaczęłaś integrować się z niektórymi mieszkańcami...
- Że co? - Karat odwrócił się zdziwiony. - Aaa, że niby tamta od kwiatów? Heh, gdy nie ma żadnych innych rozrywek, trzeba sobie radzić...
- Zdawała sobie chociaż sprawę, że była dla ciebie tylko zabawką?
- Eee, nie wiem. Chyba nie. Ja tam jej nie mówiłem. Mogła w sumie na coś liczyć.
- Co za idiotka.

Pegazi gwardzista zachichotał w odpowiedzi:
- Baby to są głupie, nieprawdaż?

Tak sobie co jakiś czas gawędząc, dwójka ogierów zmierzała w kierunku wschodnim od Applelosy, w stronę pasma gór Macintosha oraz bagien Haysead.

- Dobra, kto ostatni przy lesie Everfree, ten gładki bok!
- Ale przecież...
Apple Bloom nie zdążyła dokończyć zdania, zanim Scootaloo nie wyrwała do przodu, nie czekając na jakieś obiekcje swych towarzyszek. Dwóm małym klaczkom nie pozostało zatem nic innego, jak również biegiem podążyć za przyjaciółką.

Las nie znajdował się daleko i klaczki potrzebowały około minuty galopu, by

dotrzeć do jego granicy. Scootaloo wykorzystała swoją początkową przewagę i dobiegła pierwsza.

- Hurra! Wygrałam!
- No... gratuluję... - wysapała Apple Bloom. - Ale to nie zmienia... faktu, że i tak... wszystkie jesteście gładkimi bokami.
- Oj tam! - machnął kopytkiem pegaz.
- Eee... No dobrze, a co dalej? - spytała Sweetie Belle, która przybiegła na końcu, nie przejmując się zbytnio wynikiem wyścigu.
- Jak to co? Znaczkowa Liga rusza na kolejną wyprawę w poszukiwaniu znaczka!
- Mam tylko nadzieję, że nie do lasu Everfree... - powiedziała ostrożnie Apple Bloom.
- A czemu by nie? - Scootaloo spojrzała wyzywająco - Zdobycie znaczka wymaga poświęceń!
- A co zamierzamy dzisiaj w ogóle robić? - zapytała przytomnie młodsza siostra Rarity.

- Pomarańczowa klaczka zastanowiła się, podparłszy głowę kopytkiem.
- No... Skoro tu jesteście, to może zabawimy się w leśniczych?
 - Jej! - ucieszyła się Sweetie Belle - Tylko że... co robią leśniczy? I jak by wyglądał znaczek do tego?
 - A ja cały czas sędzę, że powinniśmy się trzymać z dala od...

Wypowiedź Apple Bloom została niespodziewanie przerwana przez końskie rzenie. Klaczki pisnęły i w mgnieniu oka przyłgnęły do siebie. Powodem, dla którego tak się przestraszyły, była nie tylko nagłość odgłosu, ale też jego... odmienność. Brzmiało w tym rzeniu coś nietypowego - było ono jakby głuche i chrapliwe, a na pewno ze wszech miar niepokojące.

- Po paru chwilach ciszy małe kucyki uspokoiły się.
- Co się tak wyglupiamy? - spytała jako pierwsza Apple Bloom - To tylko ktoś zarżał.
 - Ktoś tu jest! - powiedziała cicho wciąż przestraszona Sweetie Belle.
 - No i co z tego? - odrzekła rozbawiona Scootaloo. - Nie tylko my mieszkamy w Ponyville, wiesz?

Rozmowę ponownie przerwało rzenie, tym razem krótsze. Klaczki znowu instynktownie przybliżyły się do siebie, ale tym razem szybciej wzięły się w garść. Jako pierwsza wystąpiła Scootaloo, mówiąc nieco zagniewanym głosem:

- No dobra, wystarczy już tego! Kimkolwiek jesteś, możesz przestać próbować nas wystraszyć!

- Wydaje mi się - wtrąciła Apple Bloom, wskazując na znajdujący się nieopodal krzak na granicy lasu - że dochodziło to z tamtej okolicy.

- No to idziemy tam!

- A może... pójdziemy, tak jakby, w przeciwną stronę? - zaproponował nieśmiało młody jednorożec.

- Oj, daj spokój - pomarańczowa klaczka zbyła przyjaciółkę. - A co to może być?

Członkinie Znaczkowej Ligi zaczęły zmierzać w kierunku wskazanego wcześniej przez siostrę Applejack krzaczka. Szły powoli i blisko siebie, a w międzyczasie krzak zdążył nieznacznie poruszyć się kilka razy, obok paru krótkich odgłosów dochodzących z niego.

Gdy małe kucyki zbliżyły się już na nieznaczną odległość, zatrzymały się, patrząc po sobie niepewnie. W końcu Scootaloo nie wytrzymała i odezwała się pierwsza:

- No dobra, ja pójdę przodem!

Pegaz ruszył powoli, a za nim podążyły pozostałe dwie klaczki. Kucyk o cyklamenowej grzywie odsunął powoli krzak i spojrzał za niego.

- J-jest tu kto?

Sweetie Belle i Apple Bloom wyjrzały zza swojej przyjaciółki, lecz podobnie jak ona, nie zauważyły początkowo niczego szczególnego - co mogło być spowodowane tym, że już się powoli ściemniało. Przez chwilę poszukiwaczki znaczką uspokoili się.

- No, chyba nic tu...

Zanim pomarańczowy kucyk zdążył skończyć zdanie, oczy całej trójki przykuł drobny ruch przed nimi, któremu towarzyszył szelest. Dopiero wtedy klaczki zauważyły dziwny, błękitny, lekko falujący kształt, który zlewał się z leśnym runem. Zanim zdążyły się dokładnie mu przyjrzeć, tajemnicze "coś" zareagowało.

Kształt gwałtownie wzniósł się ponad klaczki i zaprezentował się w całej okazałości, sprawiając, że trzy przyjaciółki wrzasnęły w przerażeniu i przypadły do siebie. Stworzenie okazało się być koniem... a przynajmniej częściowo, albowiem posiadało pysk konia i przednie nogi, natomiast tylna jego część rozmywała się w bezkształtną witkę. Oprócz tego, unosiło się w powietrzu mimo braku skrzydeł, a przez jego ciało prześwitywały ciemne obrysy chmur na niebie. Całości przerażającego obrazu dopełniały świecące jasno oczy.

Klaczki nie dały sobie dużo czasu na dokładne obadanie wzrokiem tajemniczej kreatury i poddały się swojemu instynktowi samozachowawczemu, wrzeszcząc ile sił w płucach i uciekając ile sił w nogach w stronę miasta.

Kucyki cwałowały jak szalone, nie oglądając się za siebie i pragnąc jedynie jak najszybciej znaleźć się w samym miasteczku, wśród innych kucyków. Nie zajęło im długo dobiegnięcie do najbliższego domu, do którego ściany przylgnęły, oddychając ciężko. Scootaloo bardzo ostrożnie wyrzała zza węgła, by sprawdzić, czy istota nie podąża za nimi, ale nie dostrzegła nic takiego. Tajemnicza kreatura zniknęła bez śladu.

- C-c-co to było? - spytała Apple Bloom, dygocząc.

- Duch! Duch, co innego!? - odrzekła Scootaloo, machając zdenerwowana kopytami.

- Rarity mówiła mi, że duchy nie istniejąaaa! - ozwała się płaczliwie Sweetie Belle, a w jej głosie zabrzmiał niewypowiedziany żal i skarga wobec siostry.

- To idź jej powiedz, że jednak tak! - Mały pegaz był nie mniej rozemocjonowany.

- A co, jeśli to coś nas śledzi? - wypiszczała Apple Bloom.

- Co tu się wyprawia? - ozwał się nagle jakiś inny głos z góry.

Członkinie Znaczkowej Ligi ponownie krzyknęły przestraszone i dały nogę głębiej w miasteczko. Samica jednorożca, wyglądająca z okna swojego domu, do którego ściany przylgnęły małe kucyki, spojrzała tylko na uciekające klaczki i wzruszyła ramionami, powracając do rozwiązywania krzyżówki z najnowszej gazety.

Jedno było pewne - tego dnia Znaczkowa Liga jakoś utraciła ochotę na dalsze próby poszukiwania swojego uroczego znaczka.

Obszary pomiędzy lasem Everfree a pierwszymi większymi osadami na Południu, które znajdowały się dość daleko za górami Macintosha i pustynią San Palomino, były bardzo słabo zamieszkane z racji dość nieprzyjawnego klimatu. Były to tereny, przez które się przede wszystkim przejeżdżało, i to samo dało się odnieść do nielicznych miasteczek, na które można była z rzadka natrafić przy drogach.

Middleway było jednym z takich miasteczek. Nikt nie był na tyle ciekawski i zaangażowany, by przeprowadzać tu jakieś badania demograficzne, ale gdyby to zrobiono, prawdopodobnie okazałoby się, że stali mieszkańcy stanowili stosunkowo

niewielki procent kucyków i innych stworzeń tutaj przebywających. Takie miejsciny żyły głównie z osób, które tamtędy tylko przejeżdżały lub regularnie odwiedzały te rejony w swoich wędrowkach.

Łatwo zatem wydedukować, jakie przybytki były tu najważniejsze dla ekonomii miasta. Życie kręciło się głównie wokół tawerny, gdzie strudzeni przyjezdni mogli posilić się lub, w razie potrzeby, spędzić noc w jednym z pokoiów do wynajęcia. Każdego dnia przez karczmę przewijały się dziesiątki kucyków, z których spora część pojawiała się tutaj bardzo sporadycznie, jeżeli nie nawet pierwszy i jedyny raz w życiu. Nikt nie zwracał więc uwagi na nowych przybyszy, a grupa czterech klaczy i jednego ogiera, która tego dnia zawitała w progi tawerny w Middleway, nie stanowiła wyjątku.

Wnętrze było zadymione z powodu palonych tu powszechnie cygar i fajek. Nie brakowało tu klientów, tym niemniej Spektrumowi i czwórce klaczy udało się znaleźć wolny stolik. Wokół panował naturalny dla takich miejsc gwar. Wielu ogierów o zaniedbanym wyglądzie znajdowało się już w nienajlepszej formie z racji sporych ilości spożytego cydru bądź innych trunków. Część z nich dyskutowała między sobą mniej lub bardziej żywo, inni w samotności patrzyli na kufel przed sobą.

Spektrum nachylił się do swoich towarzyszek podróży:

- Nie rozmawiajcie z nikim, nie patrzcie nikomu w oczy. Nie potrzeba nam jakichkolwiek ekscesów, a za tutejszych nie mogę całkowicie ręczyć, więc lepiej dmuchać na zimne i nie prowokować.

- Ale.. ten kucyk, o tam... Wygląda na chorego - rzekła Pinkie Pie, wyraźnie zmartwiona.

Gwardzista spojrział na rzeczonego kucyka wskazanego przez Pinkie. Był to zarośnięty ogier w starym, brudnym kapeluszu, który powoli zmierzał w stronę lady, dzierżąc w pysku pusty już kufel. Jego mętne spojrzenie i chwiejny krok nie pozostawiał dla Spektruma wątpliwości, co znajdowało się wcześniej w tym kuflu.

- Zgadza się, jest chory. Z tym że na własne życzenie - odrzekł cicho Spektrum. - Nie jesteśmy w stanie mu pomóc. Idę po jedzenie.

Przyboczny wstał od stolika i podszedł do stojącego przy ladzie barmana, zanim kompletnie skonfundowana Pinkie zdążyła zapytać, jak ktoś może być chory na własne życzenie. Tymczasem Twilight lustrowała otoczenie, zafascynowana.

Zatem to tak wygląda życie na Południu? Trzeba było przyznać, że w Ponyville ani tym bardziej w Canterlocie nie było za bardzo możliwe uświadczyc takich widoków.

Choć Twilight rzecz jasna wiedziała, czym jest alkohol, na Północy nie istniała kultura jego spożywania, zwłaszcza w takich ilościach. Podobnie sprawa odnosiła się do palenia tytoniu - teoretycznie było to dozwolone, ale nikt nie miał po prostu w zwyczaju tego robić.

Tutaj było inaczej. Twilight ciężko było dostrzec twarze co poniektórych kucyków czy osłów zza nikotynowej chmury. Rzadkim był jej też widok kogoś naprawdę pijanego, a tu mogła coś takiego obserwować do woli. Nie tyczyło się to wszystkich, oczywiście - część osób zdawała się być w miarę trzeźwa. Nie wystarczyłoby to jednak, by można było ich pomylić z kucykami z Ponyville - styl ubioru też był inny, powszechne były chusty i kapelusze.

Inna rzecz, która mogła zdziwić przybysza z rejonów Canterlotu, to zróżnicowanie stworzeń, jakie tu były obecne. O ile północne tereny były zdominowane przez kucyki, tutaj o wiele łatwiej było o wypatrzenie osła, psa czy nawet gryfa. Kucyki jednak wciąż stanowiły najliczniejszą grupę - tym niemniej w tym miejscu przynależność gatunkowa nie zdawała się grać wielkiej roli. Stworzenia różnej maści siedziały przy stołach, zajmując się tutejszymi aktywnościami, wśród których dominowała gra w karty.

Twilight była rozdarta między uczuciem fascynacji a lekkim niepokojem i strachem. Spora część kucyków nie mogła się pochwalić wyjściową aparycją - niechlujne brody, brudne i podarte elementy garderoby, a w przypadku starszych osobników pożółkłe i zepsute zęby nie były powszechnym widokiem nawet w Ponyville, które wszakże trudno było nazwać arystockim czy bogackim. Nie było to najwyraźniej ważne w tym rejonie, albowiem poza tym kucyki i inne stworzenia zachowywały się swobodnie, śmiejąc się i rozmawiając, co najwyżej nieco głośniej i bardziej energicznie niż na Północy.

Zauważyła też jednak, że ich obecność tutaj nie pozostała niezauważona. Być może wynikało to z nietypowości ich grupy jak na tutejsze warunki - samic ogólnie w tawernie było niewiele, a grupa czterech klaczy i jednego ogiera nie była raczej zbyt standardowa. Może też fakt, że nie pochodzą z okolic, również jakoś rzucał się w oczy poprzez ich wygląd. W każdym razie, Twilight parę razy natrafiła swoim wzrokiem na czyjeś patrzące na nich oczy, dlatego speszona postanowiła zaprzestać obserwacji i skupić się na swoim stoliku i swoich przyjaciółkach, by nie przyciągać niepotrzebnej uwagi.

Tymczasem Spektrum wrócił z talerzami jedzenia. Nie było to nic szczególnego - zwykła potrawa z owsa. Rarity zwróciła uwagę na ten fakt i rzekła z przekąsem:

- Widzę, że jemy po królewsku...

- A co byś chciała lepszego? - odrzekł obojętnie Spektrum.

- No nie wiem - odpowiedziała Rarity, rzucając okiem na tablicę znajdującą się nad ladą, gdzie kredką wypisane było menu. - Mają tu całkiem wyszukane rzeczy... Nawet makarony z warzywami i serami...

- Wierz mi, orientuję się, jak takie knajpy funkcjonują. Lepiej zamawiać rzeczy, co do których możesz mieć przynajmniej nadzieję, że są świeże.

Jednorożec o białej sierści umilkł, uznawszy celność tego argumentu. Kucyki zabrały się do jedzenia. Chcąc przerwać milczenie, Twilight zagaiła:

- Ciekawi mnie, co słychać w Ponyville...

- Och, na pewno radzą sobie bez nas! - rzekła Rarity.

- Mam nadzieję, że na farmie nie mają żadnych kłopotów - westchnęła Applejack.

- Ani że państwo Cake nie mają za dużo zleceń! Ciężko by im było znaleźć kogoś do opieki nad maluchami! - dorzuciła Pinkie.

- A ja mam nadzieję, że chłopaki nie pajacują zbyt - również i gwardzista postanowił wtrącić swoje trzy grosze.

- Masz na myśli Maze'a i...

- Cśś... - syknął Spektrum. - Po co tak od razu gadać o wszystkim?

- Przepraszam - powiedziała nieco zażenowana Twilight. - Nie pomyślałam, że to ważne...

- Nie jest ważne... bardzo. Tym niemniej, ściany mają uszy.

- Jak to? - zdziwiła się Pinkie, badawczo rzucając okiem na ścianę obok.

- W każdym razie, myślę, że nie ma się czym martwić - wtrąciła uspokajająco Rarity. - Na pewno wszyscy sobie radzą świetnie w Ponyville. Wliczając w to "chłopaków" - dodała, uśmiechając się lekko do Spektruma.

- Och, oni nie są już w Ponyville.

- Jak to? - tym razem to Twilight się zdziwiła.

- Jak było ustalone, uczestniczą w poszukiwaniach... naszej zguby.

- A skąd to wiesz?

- Twilight, mamy swoje sposoby na komunikację.

- Ooo, to wtedy, jak wkraczaliśmy do tego miasta, a ty wtedy powiedziałaś, że musisz coś załatwić i zostawiłeś nas na parę minut same? - wyszczebiotał różowy kucyk.

- Pinkie, ale po co tak głośno, zlitujże się - powiedział cicho Spektrum, przeżuując pokarm.

- Uszanowanko, szanowny panie i śliczne panie!

Kucyk w brudnym kapeluszu, którego wcześniej zauważyła Pinkie Pie, teraz bez

pardonu dosiadł się do stolika, uśmiechając się szeroko. Czuć było od niego charakterystyczną woń, na którą w Ponyville nie szło napotkać się zbyt często. Ogier wyglądał aż nazbyt przyjaźnie, być może dlatego Twilight od razu wyczuła kłopoty. Czego on od nich chciał? Może Spektrum się tego domyślił, patrząc po jego wzroku, którym obdarzył nieznajomego. Twilight aż sama się przestraszyła tego spojrzenia.

Pijany kucyk ziemny nic sobie jednak z tego nie robił, kontynuując jowialnym i nieco ochrypłym głosem:

- Tak usłyszał żem kapkę z waszej rozmowy i obilo mi się o uszy, żeście nie stąd, prawda to?

- Tak! Jesteśmy z Ponyville! - odrzekła radośnie Pinkie Pie.

- To na północy? Zatem, witamy w naszych skromnych stronach!

- Mogę wiedzieć, czemu zawdzięczamy przyjemność obcowania z panem? - spytał Spektrum, dając wyraznie do zrozumienia tonem swojego głosu, że słowo "przyjemność" było przepełnione ironią.

- Och, skąd ten ton? Pana kompanki nie zdają się być tak nieprzychylne, a chyba ich zdanie także się liczy w ich gronie, prawda to? A ja tylko żem chciał was pozdrowić i pogawędzić trochę! Widzicie, heh, u nas jest taki dziwaczny zwyczaj, tak trochę na odwrtkę, niż w innych stronach... Bo tutaj to goście powinni czymś uraczyć gospodarza! Poza tym, bym poopowiadał wam różnych, ciekawych historii o tym, co tu się dzieje, ale tak lichy jakoś o suchym pysku...

- Dobra, posłuchaj mnie pan - powiedział gwardzista, tracąc powoli cierpliwość. - I słuchaj pan uważnie, bo drugi raz nie powtórzę. Nie jesteśmy zainteresowani pańskimi historiami i nie zamierzamy panu sponsorować gorzałki. Jesteśmy natomiast zainteresowani tym, by opuścił pan nasz stolik i zostawił nas w spokoju.

- A co pan tak za siebie...

Ogier w kapeluszu przybliżył kopyto do ust Spektruma w uciszającym i mocno spoufalającym geście, co było z jego strony poważnym błędem, gdyż przekroczył tym samym granicę cierpliwości Spektruma. Nim ktokolwiek zdążył mrugnąć, przyboczny zadziwiająco szybkim ruchem chwycił zbliżone do niego kopyto, po czym powalił natrętnego jegomościa w taki sposób, że nim ten zdążył się zorientować, leżał już na grzbiecie metr dalej, mrugając zszokowany i patrząc na znajdującego się nad nim groźnego ogiera.

- Ło! spokojnie, kolego! - zawołała Applejack.

- Spektrum! - Twilight była nie mniej zaskoczona.

- Zniosłem to, że usiadłeś tuż obok mnie, pijaczku - wycedził przez zęby przyboczny Celestii, patrząc w oczy leżącemu ogierowi. - Ale dotykać swoimi brudnymi kopytami mnie nie będziesz.

- Spo-spokojnie, przyjacielu - wyjąkał przerażony bywalec knajpy. - J-już sobie idę...

Twilight przez chwilę się bała, jak zareagują pozostali goście w karczmie, ale szczęśliwie okazali się być bardzo rozbawieni całą sytuacją. Paru wybuchło śmiechem, a tu i ówdzie szło usłyszeć okrzyki:

- Brawo! W końcu ktoś to zrobił!
- No i co, Heliotrope? Dopraszałeś się, dopraszałeś, i żeś się doprosił!
- Haha, doczekałem się!

Spektrum zdawał się nie zwracać na to uwagi, wpatrzony w mgliste, zaszkłone oczy barowego weterana. Już sam widok tych oczu wzbudzał w nim nieprzyjemne emocje. Zbyt wiele przeszłych skojarzeń...

- No i spójrz na siebie tylko! Spójrz na siebie!

Młody ogier gniewnie patrzył z góry na brudnego, ledwie przytomnego kucyka ziemnego, którego przed chwilą wywłókł z knajpy, a który leżał teraz na ziemi, nie będąc w stanie utrzymać równowagi.

- Dał... Dałbyś spokój... - wychrypiał.
- Tak, mam ci dać spokój? - wysyczał młodszy ogier. - Mogę ci dać! Ja cię tutaj zostawię i wrócę sam do domu. I cię do niego nie wpuszczymy. Będziesz miał spokój!

Leżący kucyk nic na to nie odpowiedział, zaciskając powieki. Ten drugi, widząc to, zaczął krążyć ze zdenerwowania, prychając gniewnie. W końcu podszedł i wycodził przez zęby:

- Obiecałeś! Obiecałeś i znowu o kant dupy można potłuc! Ona znowu będzie płakać i to ja będę przy niej, bo ty przecież będziesz nieprzytomny w łóżku...

Młody kucyk ziemny przerwał, głośno wciągając i wydychając powietrze. Ogier w odpowiedzi zaczął podejmować próby zebrania się z ziemi i wycharczał z trudem:

- Pomóż... Prze... proszę ją... ale pomóż mi dojść...

Drugi z kucyków przez chwilę dalej sapał pełen złości, ale ostatecznie zbliżył się i przy użyciu mocnych, mało delikatnych ruchów pomógł wstać towarzyszowi i zaczął go wspierać w drodze do domu, która ich czekała.

Drodze pełnej milczenia.

- Spektrum, co cię napadło!?

Głos Twilight sprawił, że gwardzista wrócił do rzeczywistości. Przekierowanie uwagi pozwoliło mu na ponowne usłyszenie śmiechów wokół oraz na ujrzenie przerażonego kucyka, który wycofywał się teraz niezręcznymi ruchami, cały czas leżąc brzuchem do góry.

- J-już idę...

- Masz ty rodzinę? - Spektrum zbliżył się, patrząc zimno swoimi stalowymi oczami. - Zająłbyś się czymś pożytecznym, zrobiłbyś coś ze sobą... A nie siedzisz tu i rujnujesz siebie i wszystkich tych, którym niefortunnie zależy na tobie.

- J-jasne... - Ogier w kapeluszu prawdopodobnie w tym momencie przytaknąłby wszystkiemu, co powiedziałaby Spektrum. - Już mnie nie ma.

Nieszczęsny kucyk wycofał się jeszcze trochę, po czym niezdarnie wstał i oddalił się w stronę przeciwnego końca baru, oglądając się co jakiś czas bojaźliwie za siebie. Czarno-biały ogier tymczasem obrócił się w stronę swoich towarzyszek. Spojrzenia, które wymienili, były na tyle znaczące, że słowa nie były potrzebne. Przyboczny skinął głową w stronę drzwi i cała grupa wstała, by wyjść z baru.

Twilight jednakowoż ledwo się powstrzymała ze swoimi uwagami, zanim nie opuścili karczmy. Gdy znaleźli się na zewnątrz, od razu wyrzuciła z siebie kąśliwie.

- Jak to było? "Nie zwracać niepotrzebnej uwagi"?

- Wiem, Twilight. Oszczędź sobie. Może nie powinienem był... Ale teraz to nieważne.

- Co cię napadło!?

Spektrum westchnął:

- Możemy już o tym nie mówić?

Twilight przez chwilę ucichła, jakby niepewna, czy naciskać dalej, ale nagle rzekła zdecydowanie:

- Nie! Powiedz, o co z tym chodziło!

Przyboczny chwilowo zdawał się walczyć z chęcią powiedzenia wprost, że nie chce o tym już słyszeć, ale najwyraźniej postanowił wziąć pod uwagę stan relacji w grupie, więc ograniczył się do zdawkowej odpowiedzi:

- Powiedzmy, że mam alergię na alkoholików.

Jednorożec spojrzał na swoje przyjaciółki, jakby w poszukiwaniu oparcia i porady odnośnie tego, co zrobić dalej z tą odpowiedzią. Rarity pokręciła głową, a Applejack wzruszyła ramionami.

Twilight uznała zatem, że najpewniej nie ma sensu dalej naciskać w tej kwestii i tyle musi im wystarczyć. Grupa ponownie ruszyła, zmierzając w kierunku drogi wylotowej z miasta.